**III Weronika Kaczmarczyk**

Gimnazjum Nr 1 w Legionowie

„Zycie po życiu”

Weronika Kaczmarczyk

## ŻYCIE PO ŻYCIU

Jest kolejne piątkowe późne popołudni, słońce chyli się ognistą czerwienią maków ku zachodowi. Przez grube zakratowane, połyskujące barwą morskich fal szyby ogromnych okien mojego szpitalnego pokoju, przedzierają się ostatnie iskrzące promienie żarzącej kuli chowającej się za horyzont zapomnienia.

Zamglonym obojętnością wzrokiem przyglądam się delikatnym listkom kołysanym ciepłym podmuchem wiosennego wiatru, niosącego intensywny zapach kwitnącego na pobliskim skwerku fioletowego bzu. Po mojej woskowo białej twarzy, przypominającej marmurowy posąg przemyka się zabłąkana łza szczypiąca pergaminową skórę nadmiarem soli. Do mojej przepełnionej pustką, zamkniętej na wszelkie bodźce zewnętrznego świata głowy uporczywie dobija się niedające mi spokoju od prawie sześciu miesięcy retoryczne pytanie.

Dlaczego ja?

Dlaczego ja?

Dlaczego ja ?

Siedemnaście dni, dwie godziny i trzydzieści pięć minut temu skończyłam piętnaście lat. Tylko po co?

Czy nie lepiej było zostać na tej czarnej, zimnej i mokrej od szlochu jesiennego deszczu asfaltowej jezdni przeoranej białymi pasami, podobno bezpiecznego przejścia dla pieszych. Ozdobionego jeszcze lśniącym nowością semaforem zachęcającym szafirowo zielonym okiem cyklopa do przejścia na drugą stronę.

Dlaczego ja?

Postawiłam swój szaro – czarny zamszowy but jako pierwsza, wyprzedzając innych czekających przechodniów. Przecież tak jak co dzień radośnie biegłam z pobliskiego gimnazjum do oddalonego o tysiąc czterysta metrów domu, gdzie czekał na stole

przygotowany z pieczołowitą starannością o detale obiad. Rozsiewający oprócz chmurki pary wodnej niesamowity aromat przesycony spokojem i miłością.

Dlaczego ja?

Znalazłam się tego feralnego wtorkowego popołudnia właśnie w tym miejscu na tym pechowym odcinku trasy prowadzącej na przepiękne ozdobione licznymi jeziorami mazury, które do tej chwili tak bardzo kochałam. Gdzie wspólnie ze znajomymi uwielbiałam przedzierać się przez trzcinowe zarośla smukłym i opływowym kształtem kajaka, słuchać wieczornego zawodzenia ukrytych w koronach drzew cykad.

Dlaczego ja?

Czy kiedykolwiek otrzymam odpowiedz na tak proste z pozoru pytanie. Czy znajdzie się osoba umiejąca mi wytłumaczyć , to co się stało podczas tych kilku sekund, które zmieniły moje dotychczasowe życie o trzysta sześćdziesiąt stopni. Napisały zakończenie rozdziału mojej księgi nie pytając mnie o zdanie. Nadal zastanawiam się nad sensem rytmicznego unoszenia mojej klatki piersiowej podczas nabierania powietrza do płuc i opadania przy wydychaniu dwutlenku węgla, który przecież stanowi truciznę dla innych. Często rozmyślam nad zasadnością decyzji prowadzącego mój nieposiadający happy end - u przypadek lekarza, który blokuje tym miejsce innym potrzebującym pomocy i mającym jeszcze szanse na normalne życie. Chcącym walczyć o kolejny dzień, godzinę, minutę czy sekundę upływającego czasu, nie uciekających w otchłań niebytu jak ja. Słuchając kolejnych książkowych definicji, przekształcających się w bełkot niezrozumiałych dla mych uszu zwrotów osób posiadających ogromną praktykę kliniczną w pracy z ofiarami wypadków komunikacyjnych coraz bardziej tracę realny kontakt z otaczającym mnie światem. Podziwiam ich charyzmę i zapał, nieustępliwość w dążeniu do postawionego przed sobą celu, ale z przykrością muszę stwierdzić że to wszystko nie dla mnie. Ja nie chcę walczyć, nie chcę pokonać samej siebie, nie chcę żyć, chcę zapaść się głęboko pod skorupę naszej planety gdzie wszyscy dadzą mi święty spokój. Tam będę jedynie cząsteczką materii niedostrzegalną przez ludzkie oko nawet przy użyciu najnowszej generacji elektronowych mikroskopów, nie będę czuć litości i współczucia innych. Jedynym zwrotem kołaczący się w mojej podświadomości, który wyniosłam z tych bezowocnych godzin spędzonych w gabinecie psychologa jest stwierdzenie posiadające tak dziwaczny wydźwięk, że można uznać je nawet za groteskowe.

„ Subiektywne odczuwanie, obiektywnej rzeczywistości „

Ile prawdy musi mieścić się w tak mądrych słowach, które stanowią dla mnie tylko falę dźwiękową docierającą do mojej błony bębenkowej i napędzającą kosteczki ucha środkowego do pracy, tak jak krew serce i odwrotnie. Jak długo będą oni próbować przebić mór otaczający mój niebyt tak jak skorupka jajo, który daje mi tak ogromne poczucie bezpieczeństwa stanowi izolator zabezpieczający mnie przed kolejnym zderzeniem z okrutną rzeczywistością. Kiedy wypalą się ich pokłady nadziei, chęci ciągłego dawania w zamian nie otrzymując niczego.

Nadchodzi kolejny  dzień, przypominający niemalże lustrzane odbicie poprzednich. Jednak niezupełnie, przecież to sobota, musi więc odbyć się rytualny spacer z rodzicami po szpitalnym ogrodzie wypełnionym tabunami odwiedzających gapiów. Po raz setny usłyszę jak bardzo się cieszą na mój widok, jak ślicznie dzisiaj wyglądam tak jakby wczoraj wyglądała gorzej. Nienawidzę fałszu i obłudy, przesłodzonych zwrotów ludzi którzy próbują zrozumieć moje położenie mimo, że nigdy nie dane im było siedzieć na inwalidzkim wózku. Koło południa, zaraz po obiedzie tak jak co tydzień zjawiła się mama patrząca na mnie swymi zielonymi oczami z takim ogromem nie zmąconego uczucia, którym mogła by obdzielić cały sierociniec i trzymający za wszelką cenę powagę tata. Spacer rozpoczął się zwyczajnie od kurtuazyjnej wymiany uprzejmości z napotkanymi po drodze pielęgniarkami z oddziału neurochirurgii znajdującego się na drugim piętrze, czyli bezpośrednio nad moją głową. Następnie krótka wymiana spostrzeżeń na temat obecnej pogody  i zjazd metalową windą bezpośrednio  na alejkę wyłożoną maleńkimi kosteczkami mieniącego się w słońcu kamienia. Słonce mimo tak wczesnej pory roku przygrzewało nadzwyczaj mocno, tak jakby chciało za wszelką cenę roztopić lodową taflę dzielącą mnie od świata rzeczywistego, do którego tak bardzo nie chciałam wracać. Ogród jak zawsze wygląda tak samo, co prawda znikł śnieg pojawiły się młode listki na gałązkach klonowych drzew, zakwitły wiosenne różnobarwne kwiaty na niewielkim skalniaku otoczonym masywnymi, bogato zdobionymi  żeliwnymi ławkami. Ale jaki to wszystko ma sens? Ta cała przyroda budząca się z zimowego snu, ona żyje.

A ja? Ja umarłam na tym przeklętym przejściu, pod kołami tego nieszczęsnego samochodu, który podobno nawet nie zwolnił  widząc zapalające się czerwone światło. Ja nic nie czuje, mnie nic nie boli więc po co bije te beznadziejnie głupie serce. Po co kurczy się ten bezkształtny mięsień i tłoczy czerwoną ciecz do prawie wszystkich części mojego ciała. To stwierdzenie nie dotyczy oczywiście mojej dolnej części, ona nie potrzebuje już krwi, ona nie potrzebuje już nic, jej już nie ma. Boże dlaczego ich nie ma, dlaczego one nie bolą. Dlaczego nie bolą? Dlaczego?

Tak bardzo bym chciała czuć ból, zniosła bym każde cierpienie, aby tylko te kłody wiszące u moich bioder były czymś oprócz niczego.

Znów ci ludzie wykrzywiający swe twarze przy użyciu mięśni mimicznych w coś co nosi nazwę uśmiechu. Nie mogę zrozumieć znaczenia słowa szczęście, które w kółko wypowiadają ściskając moje bezwładne ciało. Czy któreś z nich chciało by zabrać to moje wielkie szczęście ze sobą, a zwrócić moje dotychczasowe życie przed życiem.

Chciała bym krzyczeć ale nie znam słów, chciała bym płakać ale nie mam łez. Boże pomóż mi uciec, schować się w najciaśniejszą dziurę bo nie mam siły dalej żyć. Dlaczego ludzie w swej mądrości nie stworzyli wehikułu dzięki któremu mogła bym cofnąć czas, zamknąć oczy i obudzić się w swoim pokoju , zbiec radośnie po schodach których kiedyś tak bardzo nienawidziłam. Nie umiem i nie chcę pogodzić się z tym co jest teraz, chcę aby było to co kiedyś.

Dzisiaj wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie, nikt nie dostrzega mojej chęci stania się niewidzialną, przemiany z niczego w nicość nawet Łukasz z sąsiedniej sali rehabilitacyjnego oddziału. Przez wiecznie zielone gałęzie tui dosięgło moich uszu głośne jego powitanie, tak jakby zapomniał o małym szczególe iż to zupełnie inna część mojego ciała odmówiła współpracy. Nie potrafię, w żaden logiczny sposób wytłumaczyć jego determinacji z jaką podchodzi do codziennych wielogodzinnych ćwiczeń, które oprócz wzmocnienia obręczy barkowej nie przynoszą żadnej poprawy w funkcjonowaniu jego nóg. Jego pozytywne nastawienie do całego świata roztacza tak olbrzymią aureolę, iż można ją dostrzec niewątpliwie z oddalonych o wiele lat świetlnych planet naszego układu słonecznego. Czasami posiadam ogromne obawy co do podłoża tego zjawiska, co by nie paść ofiarom zarażenia tym nieznanego pochodzenia schorzeniem. Łukasz to chłopak ciągle powtarzający , że miał więcej szczęścia niż rozumu, jak można nazwać szczęściem siedzenie na wózku inwalidzkim. Jego skok z wysokiego na około pięć metrów urwiska zakończył się rozległym urazem kręgosłupa, na szczęście z pominięciem odcinka szyjnego co zachowało sprawność jego rąk. Mimo całej sympatii jaką udało mi się wykrzesać z obojętności wypełniającej każdy najmniejszy element mojego ciała w stosunku do jego osoby nie staram się nawiązać żadnych relacji towarzyskich, oprócz suchego „cześć", które i tak z wielkim trudem przechodzi przez moje gardło na zewnątrz w postaci dwóch sylab. Jednak to nie lada zawodnik, z uporem maniaka stara się co dziennie zmienić moją kopalnie pesymizmu w odrobinę radości i nadziei, która podobno umiera ostatnia. Określa mnie mianem nieoszlifowanego diamentu, który kiedyś zabłyśnie iskierkami miliardów barw olśniewając wszystkich swym pięknem i osiągnie niesamowitą wartość zwłaszcza na czarnym rynku. To właśnie od niego jako pierwszego dowiedziałam się że za siedem dni wyjeżdża do sanatorium na dwumiesięczny turnus rehabilitacyjny, a potem do domu znajdującego się w Raszynie koło Warszawy. Obiecał, że po wyjeździe będzie co dziennie dzwonił, a kiedy i ja opuszczę te grube i zimne szpitalne mury odwiedzi mnie w Legionowie. Zabrzmiało to tak nierealnie i dziwnie tak jakby zupełnie zapomniał o naszej niepełnosprawności, o tym że siedzimy oboje na wózkach z których świat wygląda zupełnie inaczej niż w rzeczywistości.

Jego słowa po powrocie ze spaceru do mojego stałego oddziałowego pokoju, dały mi sporo do myślenia. Zaczęłam setny, a może tysięczny raz analizować swoje obecne położenie i stosunek do otaczającego świata i ludzi z którymi mi przyszło żyć na tym padole rozpaczy , radości, śmiechu i łez. Zaczęłam wyobrażać sobie nasze ewentualne przyszłe spotkanie po wyjściu ze szpitala i powrocie do domu, którego tak bardzo do tej pory się obawiałam. Łukasza siedzącego na metalowym czterokołowym wózku przed moją dwupiętrową kamienicą nie posiadającą windy tylko kręte drewniane schody, ozdobione toczoną balustradą. I w tej chwili moją głowę przeszył prąd przerażenia, przecież przedwojenny architekt szkicujący projekt tej kamienicy nie przewidział, że będzie w niej mieszkać kaleka taka jak ja, nie posiadająca władzy w nogach. Zobaczyłam w swojej wyobraźni Łukasza unoszącego się w powietrzu jak jeden z super bohaterów telewizyjnych kreskówek i wlatującego drzwiami balkonowymi do salonu moich rodziców, lub wciąganego przez olbrzymie urządzenie wytwarzające silne pole magnetyczne chwytające jego osiem śrub i

pręty stabilizacji trzymającej w pionie jego niestabilny kręgosłup. W tedy po raz pierwszy od tylu miesięcy spędzonych za kratami szpitalnych okien  na mojej twarzy pojawił się niewymuszony uśmiech, a do moich głuchych do tej chwili uszu dobieg tak mi obcy od dawna dźwięk …. Przypominający dawno zapomniany śmiech.